



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartał flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

WYŻSZE ZAKŁADY NAUKOWE

DLA KOBIET.

III.

Zakład Dra Baranieckiego w Krakowie.

Wśród nowych szkół wyższych, które na wyłączny użytek kobiety są wznoszone, zakład Dra Baranieckiego w Krakowie, przy Muzeum Technicznym istniejący, ważne zajmuje miejsce. Zaczawszy skromnie od szeregu lekcji popularnych, stał się on następnie wyższą instytucją naukową, której ogólny charakter czytelniczki *Bluszcza* już znają. Jest to szkoła otwarta, mogąca mieścić między słuchaczkami swych wykładów, tak młode dziewczęta, które po skończeniu średniego wykształcenia chcą wyższej wiedzy zaczerpnąć, jak i kobiety starsze, pragnące zastąpić braki dawniejszego, skąpiej kobiecie udzielanego nauczania. Obecnie, w postępowym ciągu rozwoju, zakład zdaje się wkraczać w fazę istnienia trzecią, zdobytą sobie przez to uznanie, jakie nigdy prawdziwej zasługi minąć nie może. Wystawa wiekańska zasługę zakładu na pełne światło wyniosłszy, do takiego uznania na miejscu mu dopomogła, bo z zalem powiedzieć trzeba, że Kraków nie oceniał dotychczas należycie instytucji, która mu jednakże chlubę przyniosła. Pojmujemy, że w kwestyi tak ważnej jak wychowanie, umysły nie prędko godzą się z nowością, że lekliwie, że nawet z niedowierzaniem pewnym badać ją będą, ale źle jest, gdy miejsce takiej naturalnej, słusznej, potrzebnej nawet troskliwości zajmie oziębiający zastój myśli, która woli wszelkiego postępu się wyrzec, byle tylko nie potrzebowała się zdobywać na ten sąd właśnie, który

o występującej do życia nowości wyrok dać musi. Oskarżano przecież Kraków o taką apatyę leniwą, o nieprzychylnie z góry usposobienie dla zakładu Dra Baranieckiego, w którym widziano próżny, niepotrzebny, a nawet może niebezpieczny wymysł, aż nagle Wystawa Powszechna niepospolite znaczenie zakładu wyświeciła. Przez porównanie bowiem programów i urzędzenia rozmaitych zakładów w tym rodzaju, które z różnych stron Europy i Ameryki na wystawie się produkowały, okazało się na chlubę zakładu krakowskiego, że ze wszystkich europejskich, nie wyjmując nawet angielskich, jest on najlepiej urządzonym i tylko niektóre amerykańskie do pewnego stopnia go przewyższają.

Okoliczność ta zainteresowała także dla zakładu austriackie ministerium oświaty: zakład otrzymał charakter instytucji, publiczny użytek przynoszącej i pewną roczną subwencję. Na tem—jak jest nadzieja—jeszcze się nie skończy, a dalsze usiłowania obecnie przez dyrektora zakładu przedsiębrane zdają do tego, aby go przeobrazić w instytucję publiczną w całym tego słowa znaczeniu i wyjednać mu u rządu stały budżet.

Napomknawszy jak rzeczy obecnie stoją, możemy teraz dla tem lepszej całości obrazu, sięgnąć w przeszłość tej instytucji, i przypatrzeć się jej wewnętrznej organizacji.

Wyższy zakład naukowy dla kobiet powstał równocześnie z otwarciem Muzeum Techniczno-Przemysłowego, które Dr Baraniecki w r. 1868 gminie miasta Krakowa darował; twórcą zaś jego, który go założył i w znacznej części z własnych funduszy dotąd utrzymuje, jest także ten sam Dr Baraniecki. Instytucja ta zresztą niezależną jest od Muzeum, i o tyle tylko z niem połączona, że używa sal muzealnych na wykłady i lekcje rysunków, że korzysta ze zbiorów w Muzeum się znajdujących, ilekroć te jako okazy uzmysławiające i objaśniające do lekcji są potrzebne, że wreszcie zostaje pod jedną i tą samą administracją.

Początkowo zakład ten nie miał tej postaci i tego zakresu co dzisiaj. Przez pierwsze dwa lata mia-

nowicie odbywały się tylko wykłady popularne dla kobiet w dwóch popołudniowych godzinach (od 4 do 6) w dzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, które były przeznaczone (tak jak są jeszcze do dziś dnia), na innego rodzaju wykłady popularne, dla całej publiczności a przedewszystkiem dla rzemieślniczej i handlowej młodzieży. Następnie program naukowy tych wykładów został rozszerzony, a rozmaite przedmioty rozdzielone na pewne wydziały dla większej wygody i korzyści słuchaczek. Tym sposobem liczba godzin wykładowych musiała wzrosnąć znacznie i rzeczywiście wzrosła blisko potrójnie.

Od tego czasu Zakład mieści w sobie pięć wydziałów, to jest: 1) wydział przyrodniczy; 2) wydział sztuk pięknych; 3) wydział historyczno-literacki; 4) wydział handlowy i 5) wydział gospodarski. Muszę tu jednak zaraz zrobić uwagę, że dwa ostatnie wydziały, chociaż w planie naukowym objęte, nie zostały dotychczas otworzone, głównie z tej przyczyny, że żadnego roku nie znalazła się na nich dostateczna liczba słuchaczek.

Kurs naukowy trwa na wydziale przyrodniczym i historyczno-literackim sześć miesięcy: od początku listopada do początku maja, a liczba godzin wykładowych wynosi dziennie na wydziałach dotąd istniejących 5 do 8 godzin. Wydział sztuk pięknych, a mianowicie lekcje rysunków i malarstwa trwają przez cały zwykły rok szkolny, czyli przez dziesięć miesięcy.

Na wydziale przyrodniczym wykładane bywają w ciągu każdego kursu następujące przedmioty: zoologia, w 48 godzinach; mineralogia w 24 godzinach; geologia w 24 godzinach; botanika w 48 godzinach; fizyka z meteorologią w 72 godzinach; chemia w 48 godzinach; geografia fizyczna w 24 godzinach; popularna astronomia w 24 godzinach; popularna hygieny z dyetetyką i nauką pielęgnowania dzieci i chorych w 12 godzinach. — Siedmiu profesorów wyklada obecnie na tym wydziale wyżej wymienione przedmioty, to jest profesor uniw. dr. Karliński, prof. uniw. dr. St. Janikowski, docent uniw. dr. Reman, prof. inst. techn. Wład. Rozwadowski,

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Jesień pozłociła już dąbrowy—las stały w tych sukienkach różnobarwnych, które kładną, nim mróz liście zwarzy, a wieher je roznieśie po świecie. Na polach jeżyła się ścierń żółta i gdzieniedzie spóźniony tylko owies leżał w kopach roztrzęsionych; posiewy ozime czerwieniały miejscami lub zielenią majową łudziły oczy. Wędrowne ptastwo odlatywało zaczynało. Czuć było, że się kończy uroczystość letnia życia, a spoczynek zimowy ma rozpocząć. Mało było ruchu na drogach i łanach, ludzie zebrawszy, co Bóg dał, do domu, gospodarzyli w obejściach swoich. Szlachty wiele było wyciągnęło z królem Sobieskim pod Wiedeń; nadstawiano ucha co ztamtąd przyjdzie, czy odgłos zwycięstwa czy okrzyk klęski.—Chrześcijański król musiał iść w obronie stolicy cesarstwa walczyć i powstrzymać nawałę dzicy, która groziła Europie; niejeden przecież potrazał głową lękając się, aby ta wojna na kraj zemsty nie sprowadziła.

Na kresach było chwilowo bezpieczniej, bo się turecy z wielką siłą wybrawszy na cesarstwo, a pociągnawszy za sobą ordy tatarskie, nie mieli czasu zabawiać napaściami na granice.

Oddychało więc Podole, Ukraina i cała rubież choć chwilę.

Od czasu jak Turcy Kamieniec zajęli i zamki poobsadzali, mało kto ważył się mieszkać w tych stronach, i wprzód już dość pustych. Majętności, jakie tam szlachta posiadała, przez rządów i dzierżawców trzymane, rzadko pana widywały, a płacił z nich co kto chciał, najęszniej nie, bo pozorów nie brakło, aby się od tego uwolnić.

Pustoszały i zarastały pola, niszczały zamki i dwory, czekano lepszych czasów.

Na granicy Podola, w kącie dosyć odosobnionym, między wzgórzami porośniętymi dębami i gęstymi krzakami, z pośrodku których gdzieniedzie nagie boki skał wyglądały, stał zasunięty głęboko stary zameczek obronny niegdyś, którego mury jeszcze się dotąd w dosyć dobrym stanie utrzymywały. Okolica była mało osiedlona, wzgórze po większej części lasem okryte, pól wydartych mało i podróźny—który przypadkiem tu zawitał, stawał zdziwiony na widok zamczyska niezapowiadającego się niczem w okolicy.

Drogi wiodące doń były tak mało wyjeżdżone, że gdyby deszcze i słońce ich nie wymywały, dawnoby chwasty porosły. W tym kraju dosyć jest małej rozpadliny w ziemi, którą struga wody z góry ściekać może, aby w przeciągu niewielu lat, stała się wąwozem.

Gdziekolwiek wozy przejeżdżały a wybiły koleje, popłynął deszcz, uniósł z sobą gliniastą ziemię i robił trwałe gościniec. Mało go potem ludzka poprawiała ręka. Czasu na to nie było. Jeżeli w poprzek przebiegła woda i wyrwała dół, nie stawiono mostu; co najwięcej rzucił kto dla przejazdu wiązkę chróstu lub trochę kamieni i po nich się dostawano na brzeg drogi.

Okolica dziwnie była piękna wśród tej ciszy, jaka tu panowała. Tu nie czuć było wojny—nie słychać gwaru życia, tylko ptactwo bujało, zwierz dziki pasł się wygodnie i krzewy a rośliny gęsto puszczały, nie trzebione.

Pomiędzy zielonemi wzgórzami, które się rozstępowały dosyć szeroko, tworząc dolinę, płynęła żartko mała rzeczka Lesicą zwana, stał na cyplu nagim, nad stawem z niej powstającym ów zamek stary, dawniejsze pono czasy niż korybutowskie pamiętający. Od strony stawu wzgórze było pod nim oberwane jak ściana, gdzieniedzie wystająca najeżona skałą, z drugiej przepok wodą napełniony dzielił go od osady na podzamczu ucepiętej.

Nędzna to była, niewiedzieć jak nazwać, wieś czy miścina...

Osadnicy uprawiali małe kawałki roli po większej części, niektórzy zajmowali się prostemi rzemiosłami, kilku żydów prowadziło jakieś tajemnicze handel na kresach. W rynku było parę domostw obszernych, ale tak samo z gliny i chróstu lepionych jak chaty włościan. Nikt tu nie zmagął się na porządniejsze budowle drewniane, bo tatarskie napady były częste, a gdy się Lipki albo i Budżaki pokazyły w okolicy, co żyło biegle z całym mieniem na zamek, a tłuszcza paliła chaty i szopy.

Wprawdzie niejedna taka burza Gródek ominęła, bo i trafić doń nie bardzo było Tatarom łatwo, a szlaki ich dalej przechodziły i zapuszczać się w wąwozy wiodące w ten zakąt nie było bezpiecznie, gdyż lada garść żołnierza mogła zadać wielką klęskę.

Ludność, jeśli Lipki ją zaskoczyły tak, że na zamek zbiedz nie mogła, rozpierchała się w lasy i góry pobliskie, gdzie też bezpieczne znajdowała schronienie. Starsi z osady znali wnijścia do pieczar tak ukrytych, że ich nikt w świecie dojść nie mógł, a Tatar lasów nie lubił i w odkrytych tylko polach nawykł harcować.

Bezpieczniej tu też było może niż gdzieindziej na pograniczu, a w złym razie i zameczek mógł się tak długo bronić, ażeby dziez co nigdy nie oblegała długo, odeszła.

Zamek na cyplu miał mury choć stare, ale krzepkie, z kamieni wzniesione przed laty, grube i wysokie dosyć. Z tej strony, która na staw wychodziła, dwie rondele po rogach, od fossy i miasteczka, oprócz narożnych baszt, bramę obronną, także dwoma wystającymi bastyonami osłonią. Już przed nią niegdyś zwodzony most być musiał, lecz dawno go nie stało i na fossie most lichy na palach wzniesiono, który w czasie niebezpieczeństwa rozbierano lub podpalano. Kilka śmigowni w murach, wprost nań wykirowanych broniły przystępu. Stał jednak zamek, raczej siłą dawną budowy swej, niż staraniem, którego tu wcale widać nie było. Gdziekolwiek dachu kawałek został, składał się z krokwi odartych lub gontów słomą połatanych. Brama blachami okuta porzdzewiała i płyty z niej opadały niepoprawiane. Znać jej też może i nie otwierano nigdy, bo wystarczała obszerna furta obok, w którą się i wóz włościański mógł zatoczyć.

Wszedłszy z miasteczka na zamek i szeroką minawszy bramę podwórzec widać było prostokątny, dosyć obszerny, zewsząd kurtynami starami otoczony. W głębi od strony stawu, stary piętrowy budynek murowany przypierał też niemal do kurtyny. Gdzeniedzie szopy popod murami i horodnie widać było w dosyć złym stanie, a pod nimi, począwszy od odwiecznych kul kamiennych, połamanych wozów, zapasu drzewa, słomy, wszelaki sprzęt stary porzucany na kupy.

W podwórzcu oprócz kilku wydeptanych ścieżek i około bramy miejsca wydeptanego, kędy wozy stawały, rosła trawa i chwasty. Po murach czepiały się gdzieniedzie dzikie krzewy, ożyny i drobne roślinki, z pośrodku kamieni dobywające się na świat. W jednym miejscu płotem z kółków zagrodzonym, był mały ogródek warzywny—i fasole, kukurudza, różne zielsko na parze grządek bujało.

Podwórze to wchodząc od głównej bramy widać było można zamknięte w głębi murowanym domem, który niemal całą połać zasłaniał—za zamczysko same.

Nie kończyło się ono tu przecież i choć przez dom nie wiodło żadne przejście, w prawo i lewo dwie drożyny prowadziły do wąskiego murami scisniętego przesmyku, w którego kurtynie warowna brama osłonięta przepuszczała do wnętrza dawnej cytadeli. Bramę tę zupełnie nowsza znać budowa zakrywała. W pierwszym podwórcu były jeszcze życia jakiegoś ślady, na drugim już pustka odwieczna.

Wrota wiodące w ciasniejszy dziedziniec drugi, otwarte od wieków, wisały na zardzewiałych wrzęciadkach, jakby się już zamknąć nie mogły. Kawał zarzuconego płotu chrześcianego je zastępował. Można go było odchylić i cokolwiek pod górę idąc przypatrzeć się opuszczonej warowni. Przeszłość zajęta nią była znacznie mniejsza; gdzieniedzie obnażoną skałą szarą przecięta, wreszcie porośła trawami. Dwie rondele ze wschodkami otwartymi wznosiły się na rogach. Mniej więcej w pośrodku

prof. szk. realn. dr. Wierzejski, prof. gimnaz. Maj i Ignacy Król.

Wydział sztuk pięknych dzieli się na dwa kursa. Na kursie wyższym uczeniści uczą się oprócz rysunku podług wzorów, modeli gipsowych i z natury także malarstwa olejnego, a równocześnie słuchają wykładów do ich zawodu potrzebnych, mianowicie: anatomii w ogóle, a w szczególności anatomii głowy, rąk i nóg; teorii perspektywy w zastosowaniu do rysunku z natury i kompozycji; głównych zasad światła-cienia, harmonii farb, a wreszcie estetyki i historii sztuki. Na kursie niższym, odbywa się tylko nauka rysunków. Dodać jeszcze winniem, że oprócz wymienionych przedmiotów należą jeszcze do tego wydziału: modelowanie w glinie, wosku i drzeworytnictwo. Do modelowania nie znalazła się dotychczas wystarczająca liczba amatorów, ale za to w drzeworytnictwie kształci się już od roku kilka uczennic. Mieliliśmy sposobność widzieć już nie jedną ich pracę, a postęp w tej nauce wydawał nam się nadspodziewanie wielkim. Podobno uczeniści tej szkoły robią już ryciny do jednej książki w ozdobnej edycji w Krakowie wydawanej, a jest nadzieja, że niedługo większe ich roboty i w piśmiech ilustrowanych się pokażą. Pierwszymi zatem drzeworytnikami, jakich Kraków będzie posiadał, będą bezwątpienia uczeniści wyszłe z Muzeum dr. Baranieckiego.

Mówiłem już że na tym wydziale kurs naukowy trwa dłużej niż na innych, bo dziesięć miesięcy (w przeszłym roku trwał nawet dwanaście); z tego czasu wypada: na naukę rysunków w kursie wyższym 260 godzin, a w kursie niższym 190 godzin; na naukę drzeworytnictwa 160 godzin. Wykłady teoretyczne dla kursu wyższego obejmują w tymże czasie 90 godzin. Nauczycielami w tym wydziale są obecnie: prof. szkoły malarskiej Wład. Łuszczkiewicz, malarz Leon Piccard, i drzeworytnik pan Danielski. O historii sztuki, a zwłaszcza o plastycznej sztuce u Greków miewa odczyty pan Marian Sokołowski.

Na wydziale historyczno-literackim są wykłady dwojakiego rodzaju: stałe, to jest takie, które się każdego roku regularnie powtarzają, i niestałe, to jest takie, które obejmują pewną gałąź umiejętności, albo których przedmiotem jest pewna epoka, pewien fakt i t. p., i które nadto w jednej, w dwóch lub też i w całej seryi odczytów wypowiedziane, nigdy się już więcej nie powtarzają. Do pierwszej kategorii należą następujące przedmioty: Historia literatury powszechnej i polskiej, wykładana przez dr. Adama Bełkowskiego; historia polska, wykładana przez Alfr. Szepeńskiego i pedagogia, którą wyklada pan Pietraszkiewicz. Druga kategoria wykładów, to jest wykłady niestałe, w gruncie rzeczy nie stanowią nic innego tylko tak zwane publiczne odczyty. W istocie oprócz stałych słuchaczek muzealnych, przychodzi na nie także i inna publiczność z miasta, zawsze jednak w przeważającej liczbie z kobiet się składająca. Oprócz zwykłego celu wszelkich publicznych odczytów, aby w sposób przystępny i popularny zapoznać szerszą publiczność z ostatecznymi wynikami albo z ostatnimi zdobyczami nauki, wykłady drugiej kategorii mają jeszcze dla stałych słuchaczek ten cel, że im podają coraz nowy materiał do ich umysłowego kształcenia się.

Jak we wszystkim w ogóle co się jego zakładu tyczy, tak i w zjednywaniu sobie prelegentów do tych tak zwanych niestałych wykładów, dr. Baraniecki okazuje zawsze wielką zabiegliwość i skrzętność. Wziąwszy na uwagę, że przez cały kurs każdego roku, trzy razy tygodniowo najmniej, takie wykłady się odbywają, łatwo sobie wyobrazić, że nie mało potrzeba tutaj tej zabiegliwości. Oprócz sił, jakie w tym celu dr. Baraniecki może znaleźć na miejscu, korzysta on z każdego chwilowego pobytu, albo przypadkowego przyjazdu którejkolwiek z naszych znakomości na polu nauki lub literatury, a nie było podobno jeszcze dotąd przykładu, aby ktoś odmówił jego zaproszeniu do wzięcia udziału w tych wykładach. Nie dziwnego, że przez parę lat istnienia szereg tych odczytów już znaczny się utworzył i że między prelegentami w Muzeum występującymi, znajdujemy także tak wiele imion, albo głośnych zkądinąd, albo przynajmniej powszechnie już znanych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

stał podnioslejszy nad kurtyny budynek niewielki kwadratowy, znać starożytny bardzo, lecz dziś już nie zamieszkały. Drzwi i okna jego zczerniały, zabrukane, pozamykane były. Gdzieniedzie w górnych zabrakło błon w ofów oprawnych, a jaskółcze gniazda w wielkiej ilości okrywały swobodnie wszystkie muru wyłomy.

Choć opuszczona, budowa ta niegdyś musiała być bardzo starannie wzniesioną, bo dotrwała dziwnie cała i nienaruszoną. Dach tylko gontowy porósł zielonemi mechami.

Oprócz podniesionego mieszkania na dole, dwa rzędy okien nieregularnie rozrzuconych w ścianach, dwa piętra wskazywały główne drzwi we wgłębieniu muru, po wschodach od dziedzińca dosiadał tylko było można. Nad niemi wpuszczony kamień miał na sobie zatarte herby i napisy. Jeszcze wyżej w wyłobieniu widać było mały posążek N. Panny z dziecią Jezus Chrystus na ręku. Okrywał je z góry niegdyś daszek, którego teraz tylko szczątki zostały.

Stada wróble, którym tu nikt gospodarować nie przeskadzał, przelatywały swobodnie, swiergojąc dzień cały. W baszcie na prawo, w ciemnym kącie siedziała stara ogromna sowa, której może przez przesąd jakiś nie prześladowano. W nocy wylatywała na żer, we dnie drzemała w tym kącie, który za swe niezaprzeczone nawykła uważać dziedzictwo. Wróble tylko napadały ją stadem we dnie, lecz nawykła do ich szczebiotania całkiem na tę zgraję krzykliwą nie zważała.

Zamek nie był wcale wesoły, a mieszkalną lewdwie ta część, która w pierwszym podwórzu stała.

Tu morowane domostwo, acz opuszczone bardzo było obszernem.

Zajmował je pod te czasy, już od lat wielu, zwany Podstarościem Paweł Dorszak, rządzący Grodkiem z przyległościami w imieniu Miecznika Zboińskiego, którego dobra te były dziedzictwem. Na zamku od bardzo dawna ani dziedzic z ramienia jego nikt nie powstał. Dorszak się tu za pana samowładnego uważał i choć raporta pisał czasem, czując się sam panem, rządził jak mu się podobało. Kilka osad, słońbód i wielka przestrzeń ziemi do Gródka należała, lecz nigdy z tego Miecznik grosza nie miewał.

Od dnia do dnia a do spokojniejszych czasów odkładano uporządkowanie majątności, w której żyć nie było bezpiecznie, a gospodarować trudno.

Przed laty piętnastu, gdy stary Podstarości zmarł, zjawił się u Miecznika, mieszkającego w Lubelskiem ów Paweł Dorszak, całe mu nieznajomy, ofiarując usługi swoje. Za całe polecenie miał jakieś podejrzenie pod pieczęcią świadectwo, jako u panów Potockich, na ich dobrach około Zbrucza kilka lat siedział a wyszedł z nich tak, że doń pretensyi nie miano.

Miecznik właśnie kłopotał się kogo tam posłać, bo mało kto się ważył na kresy życia stawić i nędzę cierpieć, a wieczną groźbę tatarskiej niewoli. Spadł mu jak z nieba ów Dorszak, choć się nikomu nie podobał. Chłop był jak wół ogromny, silny, czerwony, ryży, oczów dzikich i bystro biegających, uśmiechu niemilego, śmiały i zawadyaka. Strój z kozacka tatarski nosił i z jednym pacholikiem do cygana podobnym na dwór przybył. Z ruska po polsku mówił, mieszając tatarskie wyrazy i płacząc się w mowie.

Opowiadał się szlachcicem od Halicza, ale o sobie i rodzinie mało mówił. Żonatym być miał i bezdzietnym. Za powierzony zamek i dobra gardłem chciał ręczyć, że je w całości dochowa. Miecznik wahał się długo, tak mu przybyły był nie do smaku. Miecznikowa też odradzała, człek był nieznany, a świadectwo podejrzone. Lecz nie było nikogo, a w Gródku szkody uczynić nie mógł, bo oprócz murów a ziemi nic tam Miecznik nie miał, a z ziemi choć żyznej, czynszów, osypów i danin nigdy grosza nie widział. Szło to zawsze na reperacje, dachy, mosty, wyderkafy różne. Złamany szeląg nie wpłynął. Dorszak się kłął, że intratę da i nie małą. Z góry nawet ją obliczał. Dał się przeto namówić Miecznik i pełnomocnictwo przed aktami spisawszy, wyprawił nowego podstarościęgo.

Od tej pory listy wprawdzie przychodziły, ale pieniędzy wcale nie. Na naglące domagania się o przyjazd, o rachunki, odpowiedzi były wykrętne,

często milczenie po kilka miesięcy, a potem pismo, w którym nie to stało, czego się spodziewano.

Miecznikowi na Mierzejewicach, Opolu i Woli Zbrzeskiej działało się bardzo dobrze, mógł się bez owego Gródka obejść wysmienicie, przecież korciło go dobra mieć, a z nich tynfa nigdy nie dostać i jakby na urągawisko pisma takie, które przeczytawszy, w garści nieraz zmiął i w kąt cisnął.

Byłby sam pewnie się wybrał oddawna zrobić tam porządek, ano czasu nie było. Miał miecznik zawsze jakąś dostugę publiczną, od której się wymówić nie mógł. Mąż był rycerski, rycerskimi sprawy zajęty, w sile wieku—więc jeśli nie na wojnie i nie w obozie, to na komisji, to z poleceniem króla na sejmiku, na dworze i t. p. Technąc nie było czasu i nawet się w swoich Mierzejewicach rozpatrzeć.—Miał naówczas pan Zboiński lat pięćdziesiąt, a od kilkunastu żonatym był. Istny obraz ówczesnego szlachcica, zahartowanego za młodu, zdrów, przystojny, do konia i do korda dzielny, niezmordowanie czynny, zawsze myśli wesołej, do wszelkiego dzieła obywatelskiego gotów, do zwady i do biesiady stający ochoczo; długo w domu nie zagrzewający miejsca nigdy—Miecznik był i szczęśliwym i kochanym. Nic mu na świecie nie brakło, bo i substancya starczyła i miłość była u ludzi, a u króla Jana miał zachowanie osobliwsze.

Ożenił się też był jak nie można lepiej, pojawił się jedyną córkę przyjaciela swego Musińskiego, najpiękniejszą, najmajątniejszą pannę w okolicy, do tego humorem i charakterem dla jakby stworzoną. Musiński rotmistrzem był w pancernej chorągwi hetmańskiej, mężem zawołanym w wojsku i obywatelstwie—hulaką trochę, ale z kościami poczciwym. Rotmistrzówna zawczasu po śmierci matki nauczyła się w domu ojca gospodarować i rządzić, więc później za męża poszedłszy, u Miecznika wprędce wszystko w kluby wzięła. A była to potrzeba wielka, bo sam pan na to czasu nie miał.

Nazywał ją mąż, całując po rękach, złotą Handzia swoją, a przez lat kilkanaście żyjąc z sobą, nigdy się jedno na drugie i zmarszczyć nie miało powodu. Po śmierci Musińskiego objął Miecznik po nim majątność niemając, tak że go za pana miano.

Ówczesnych kobiet los był taki, iż większą część życia w tęsknicyby, a wyglądając panów mężów spędzały, gdyby nie to, że pracy miały tyle, iż na nią czasu nie stawało. Miecznik rzadkim był gościem w domu, a gdy przyjechał, gdy i szczęście z sobą przywoził, ale często nim konie od ganku odeszły, już je na jutro dysponowano. W jego niebytności Miecznikowa gospodarstwo i ład domowy i interesa miała na głowie, nie licząc wychowania córki, z którą się nie rozstawała. Dwa tylko lata ostatnie Jadzia spędziła w klasztorze przy ksieni panien Brygidek, która była Miecznikowej cioteczna. Zdało się to dobrem, aby i robótek i książek i pobożności i światła z sobą do domu przyniosła trochę, w dodatku do tego, co od matki wzięść mogła. Wyrosło dziewczę jak dwie krople wody do matki podobne, hoże, świeże, śmiałe i do pracy niezmiernie ochocze i czynne...

Gdy pod Wiedeń ciągnąć przyszło, wezwał Sobieski Miecznika z sobą, powierzając mu dowództwo w wojsku komputowem. Byłaby się jejmość sprzeciwiła tej wyprawie dalekiej i niebezpiecznej, gdyby ona nie była przeciwko wrogowi chrześcijaństwu wymierzona, więc obowiązkiem, gdyby przytem królowi co odmówić było można i gdyby Miecznik się dał powstrzymać.

Mowy więc o tem być nie mogło. Właśnie przed tem niedawno, pozwał był sąsiad pana Zboińskiego o granice. Gdyby był po ludzku a po bratersku przybywszy sam zagał sprawę, kompromis by był łatwym, ale słowa nie rzekłszy Miecznika przed sąd ciągnąć—oburzyło oboje.

Zboiński pięścią w stół uderzył.

— Zje kaduka, rzekł—papieru mam, obronę się, a nie... będę go choć po sądach ciągał, aby znał co powinności braterska każe. Pieni mu się chce, będzie ją miał... bo się lada pozwu, chwalić Boga, nie zlekne.

Szło tedy o dokumenta.

U pana Miecznika papierów w domu wiele nie było. Wszystkie jakie miał tytuły posesyi: działy, testamenty i odwieczne skrypta chowano na wypadek nieszczęścia w jednym miejscu. Jeszcze po dziedzie odziedziczony kuferek jak długawy wałek okra-

gły wyglądający, skórka jakąś z włosom obity, gwoździami mosiężnymi przytwierdzoną, o dwu zamkach—stojący zawsze w kancelaryi Miecznika, mieścił w sobie archiwum dosyć porządnie fascykulami pozwiązywane. Tam też spoczywały w rurach blaszanych mappy posiadłości.

Zaraz po otrzymaniu pozwu Miecznik wezwał jejmości do siebie i zabrał się z nią razem do poszukiwania dokumentów granicznych. Robota była niemała, bo owe fascykuly nie dobrze były uporządkowane. Niektóre z nich do spraw dawno ukończonych i do dóbr wyszłych z imienia się odnosiły. Wszystko jednak przeglądając przyszło, bo akta graniczne głęboko gdzieś utkwily.

Gdy tak oboje stare owe dzieje lustrowali, wpadł Miecznikowej w ręce fascykul z napisem: „Papiery Grodka Braclawskiego tyczące.“ Odłożono go na bok. Znalazły się dokumenta graniczne. Zaczęto napowrót do kufra pakować, ale dawno nie widziany Grodecki fascykul, ciekawości samej pani obudził. Miecznik go też, jak powiedział, nigdy w rękach nie miał. Jedwabnym był sznurkiem zielonym związany i znać długo z nim leżał, bo się wpił w papiery, a węzeł przypląszczył, że go trudno przyszło rozplątać. Gdy nareszcie rozbić zaczęto poróżkłe notaty, inwentarze i informacje, trafiła się notatka niewyraźna, ręką dziada jejmości pisana, w której stało opisanie loszku zamurowanego na zamku i złożonych w nim ze skrzynią kosztowności i pieniędzy.

Miecznik o nich nigdy w życiu nie słyszał, lecz z opisu tego, co się tam znajdowało, wnosić mógł, iż ojciec ani dziad zamurowanej skrzynki nie dobyli. Ruchomości tego rodzaju święcie się w rodzinach przechowywały, nigdy ich nikt nie sprzedawał, chyba szło o okup z niewoli pogańskiej.

Można było przypuszczać, iż owa skrzynia po dzień się na zamku jeszcze znajdować musiała. Nie był to skarb tak znaczny, aby się zbyt on troszko no, przecież ze spisu wnosząc, kilka a może kilkanaście tysięcy czerwonych złotych wynosił. Mogło być bardzo, że go ktoś tam domyślił się, wyszukał i przywłaszczył, wątpliwość wszakże zostawała, a miecznikowa gorąco się wzięła za to, że należało do Gródka jechać i skrzynię odzyskać. Tyle lat ona tam już przetrwała, iż Miecznik chciał czekać ażby się wiedeńska potrzeba ukończyła, a on sam po nią mógł się wybrać. Jejmość była przeciwnego zdania. Zdało się jej iż i Gródek obejrzeć i Dorczaka gospodarstwo w miejscu osądzić czas był wielki, a nigdy bezpiecznie się to dopełnić nie mogło jak teraz, gdy Turcy i Tatarowie gdzieindziej byli zajęci. Ofiarowała się, jako dla rozrywki, bodaj z córką jechać, zapewniając iż radę sobie da i skrzynkę przywiezie.

Zakrzyknął miecznik niechęć na tę niebezpieczną wyprawę żadną miarą pozwolić, ale się złota Handzia uparła i na pół żartem, pół doprawdy zagroziła gniewem, jeśli jej też, jak mówiła, na potrzebę tę isę zabroniono.

Długie o to były spory i nie jeden dzień trwające, wszakże, jak się to pospolicie dzieje, gdy jejmość czego mocno zapragnie, na swoim postawi. Nie rychło wreszcie zgodził się miecznik, choć z największą w sereu trwogą. Tatarowie choć ich znaczna część wyszła, włóczyli się nad granicami, a dosyć było kupki małej, aby wielkie nieszczęście stać się mogło. Śmiała się z tego miecznikowa. Gdy przyszło do obmyślenia wyboru w podróż, spory też powstały wielkie, bo ona chciała w małym pocecie, a mąż rad był dla bezpieczeństwa dać ludzi co najwięcej i dobrać co najdzielniejszych, na których się mógł spuścić bezpiecznie. Za warunek to położył, iż sam dwór towarzystwo naznaczy.

Na dworze miecznika znajdował się naówczas, daleki powinowaty, chłopak ubogi, ale wielkich nadziei, Janasz Korczak. Dwudziestoletnie pachole, byłby on na wiedeńską wyprawę się wyprosił, gdyby nie przypadek, który mu niskiego trudu podjąć nie dopuszczał. Najeżdżając konia pod miecznika, gdy się ten pod nim związał, Janasz nogę złamał. Wprawdzie mu ją doktor Niemiec, sprowadzony z Lublina, natychmiast wzięł w leszczotki i młode kości się doskonale zrosły, ale mu jeszcze ani wiele chodzić, ani do znużenia jeździć nie dozwolano. Janasz się kłął że najmniejszego bólu nie czuje, że zdrów i siły ma; na wyprawę isę mu nie dał miecznik. Lecz gdy przyszło dwór dla jejmości zbierać, padł

do nóg panu Zboińskiemu, aby się wprosić i dla bezpieczeństwa być dodanym. Trudno było mu oprzeć się, a prawdę rzekłszy, nie mała to była rękojmia, bo Janasz ciałem i duszą był oddany miecznikowstwu, mężny był, przebiegły, roztropny i niezmordowany. Śmiało mu rodzinę mógł miecznik powierzyć. Staruszek kapelan ksiądz Fabian Żudra, nie wielką być mógł pomocą, lecz i ten aż wzdychał, nie śmiejąc się narzucić, a kraje nieznane bardzo pragnął oglądać. Staruszek był krzepki, nie uciążliwy nikomu, w rozmowie miły; miecznikowa go też zabrać przyrzekła. Do koni i dla obrony, wybrano sześciu ludzi co najtęższych i do państwa przywiązanych. Oprócz tego dwu hajduków, Holoba i Trakieniec i węgrynek Giezy, jechać mieli.

Janasz choć najmłodszy, podejmował się dowodzić i marszałkować. Bronił dla wszystkich ludzi, nie tylko tę jaką przy sobie mieć mogli, ale zapasną, na wozy wzięto, koni luźnych od wypadku trzy, prochu i kul poddostatkiem. A że krajem nie zawsze ludnym i gościnnym jechać miano, wszelkiego jadła, okrycia i czegokolwiek w podróży potrzeba, przysposobiono. Miecznikowa i o chorobie, uchowaj Boże na kogo, pomyślała, ziółko i kropli i różnych medykamentów upchawszy puzderko całe.

Mierzejewice więc na czas jakiś opustoszeć miały, bo miecznik z wojskiem ciągnął, a pani w drogę się zaraz wybierać chciała, aby przed zimą powrócić.

Zdawało się Zboińskiemu iż najlepiej uczyni, gdy do Dorszaka przodem zaufanego człowieka z kartką pośle, oznajmiając mu o przybyciu pani, aby przynajmniej izby oczyszczone znalazła, i co do życia było potrzeba zasposobione. Miecznikowi to humor na wyjeździe znacznie popsulo, nie mówił nic, ale się lękał. Wprawdzie Gródek od napaści dotąd był wolnym, ale okolica i sama bliskość Tatarów a włóczągów niepokoiła go mocno. Przeciwnie sama pani, córka, Janasz, co miał dowodzić wyprawą ksiądz nawet, myśli byli najlepszej i cieszyli się zawczasu tem, co oglądać i co przywieść z sobą mieli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Pobyt w Warszawie.—Katarzyna-Malwina.—Bale i Wieczory tańcujące w Warszawie.—Dzwon kościelny.—Powrót do rodzinnego dworu.—Ksiądz proboszcz.—Ogień na kominku.—Marzenia i przypominania.—Tadeusz Nekanda.—Pan Szambelan.—Odkryta tajemnica.—Bitwa.—Ranny.—Posag przeszkoda.—Ksiądz proboszcz i pułkownik.—Porozumienie i małżeństwo.—Prawda uczucia.—Niedbanie o wiano.—Burze wojenne.—Rok 1809.—Taniec i bój.—Kampania 1812 r.—Napoleon I w Warszawie.—Wdowy i sieroty.—Upadek księstwa warszawskiego.

Pierwszych parę tygodni—jakby w zaczarowanym świecie błądziła: urok jakiś padał na jej myśli i serce, jakby zakosztowała owego napoju z ziela tojadu, który wedle mniemania naszego ludu, sprawia w człowieku zapomnienie o całej przeszłości. W takim stanie czas ten przebywała w pałacyku swej ciotki, gdy nagle dziwna zmiana w niej zaszła, że zwyczajnego wypadku. Zmęczona po balu, z początku padła z trudu i snem twardym spoczęła: ale nad ranem po niespokojnych marzeniach, gdy jeszcze brzmiała jej na przemiany w uszach melodya to dziarskiego mazura, to pełnego wdzięku kontredansa i angleza, gdy czuła dotąd delikatny ale wymowny uścisk ręki pięknego oficera od złotych huzarów z pułku Umińskiego, rozbudzona usnąć dalej nie mogła.

Dzionek już z po za franek bielił coraz widniejszy: w tej właśnie chwili usłyszała dzwonek z pobliskiego kościoła Karmelitów na Lesznie. Odgłos jego wzywający pobożnych na ranne nabożeństwo, odbił się dziwnem echem w sercu młodej dziewczycy; urok który ją trzymał w swej moey jakby zły duch,

uleciał przed znakiem krzyża świętego, i odrazu wszystkie wspomnienia od lat dziecińczych cała chmurą uderzyły w jej serce i napełniły myśli. Pociągnięta tajemną siłą, padła przy swem łożu stojanem na kolana, i jak we dworze rodzinnym odmówiła ze szczególnem nabożeństwem modlitwy do dawnej swej Opiekunki i Orędowniczki. Tym modłom towarzyszył jej odgłos głośniejszej sygnaturki, znany od lat dziecińczych, ale nie z miejskiej świątyni Pańskiej, bo ten umilkł oddawna, tylko z mурowanego kościoła wiejskiego, w którym chrzest odebrała, i w którym co niedziela i święta nabożeństwa słuchała. Widziała go przed oczyma swej duszy, jak okolony szpalerem lip starych, odwiecznych dębów, jodeł i świerków, wychylał smukłą wieżę po nad ich wierzchołki. To wzniesienie myśli do niebios, zroszone łzami rzewnemi, przyniosło jej nieznaną już dawno spokój, tak potrzebny dla wzburzonej wyobraźni—i utulenia wzruszonego serca.

Sen błogi skleił powieki, a w nim przesuwały się obrazy dla niej najmilsze domowej zagrody, codziennych zajęć, pracy, jak i zabawy nie tak gwarnej, nie tak uderzającej, ale dające ciche a trwałe zadowolenie ducha. Ujrzała rodzinny dwór, małą a piękną komnatkę swoją pełną kwiatów, z płonącą lampką przed obrazem świętej, patrzyła w oblicza spokojne a upromienione radością i szczęściem zwrócone ku sobie, ukochanego ojca i matki.

Gdy około południa rozbudziła się, bo po północy kiedy już drugie piały kury, wróciła z balu, uczuła niespodziane pokrzepienie, ale i tęsknotę do rodzinnego gniazda. Dobra się nadarzała sposobność, bo właśnie stary rodziców dworzani, przybył od nich z listem. W nim z radością wyczytała, że równie jak ją, trapi oboje tęsknota, że czują się osieroconemi, a w domu smutne widzą pustkowie. Odpisała więc błagając aby co rychlej matka przybyła do Warszawy i zabrała ją z sobą. Jakoż w tydzień potem, porzuciła miasto pomimo silnego oporu starościny, która obawiała się, że się mniej do brze bawić będzie, gdy ją opuści jej ukochana a piękna Malwina.

Jakaż radość uczuła, gdy po męczącej drodze, ujrzała najprzód wieżę kościoła parafialnego biejącą wśród wieńca zielonych, i w tej porze zimowej świerków i jodeł, a wkrótce dwór rodzinny, ruch niezwykły na podwórzu, i sędziwą postać ojca stojącego na ganku, otoczonego gronem wiernej czełdki, na powitanie wracających z podróży żony i jedynaczki.

Ze łzami rzewnemi upadła mu do kolan, ścisnęła i całowała wierne sługi, a potem co najrychlej skoczyła do swej komnatki. Z bijącym sercem przestąpiła jej progi, i zastała wszystko jakby wczoraj ją dopiero opuściła. Lampka przed obrazem Boga-Rodzicy przyświecała jasnym płomieniem, a wianek ze świeżych zielonych liści i kwiatków chodowanych, okalał jak dawniej święte jej oblicze. Padła na kolana i gorącą swoją modlitwę odmówiwszy, powstała jakby odrodzona, swobodna i wesoła.

Wróciło życie do samotnego dworu, a zmęczona, snem twardym zasnęła. Nazajutrz, gdy przypadła niedziela, udano się starym zwyczajem do kościoła na poranne nabożeństwo: zjechało się bliższe sąsiedztwo na powitanie przybyłych z Warszawy matki i córki. Powiększał grono zaproszonych na obiad sędziwy a szanowany powszechnie proboszcz miejscowy.

Kasia musiała zaspakajać ciekawość zebranych pań i panien opisywaniem wesołych zabaw i balów, na których pierwsze miejsce zajmowała, chociaż o tem wspominać się nie godziło. Wymowne obrazy jakie przesuwała przed oczyma swych słuchaczy, wprawiły ich w podziwienie i zachwyt. W opowieści swej pełnej prostoty, nie przepomniała odmalować i grona urodnej młodzieży, czego słuchając ksiądz proboszcz, rzekł z dobrośliwym uśmiechem do pani domu:

— Pokusa to wzajemna pani dobrodziejko w takich zebraniach, młode a niewinne serca, są często w niebezpieczeństwie. Panna Katarzyna dosłyszała te słowa, wywołały one najprzód żywy rumieniec na jej oblicze, a potem ciche westchnienie. Obecnym, na to wzruszenie nagle pięknego opowiadacza nie zwracali uwagi, ale dostrzegło je bystre spojrzenie matczyne.

Bawiono się wesoło do późnego wieczoru, a gdy po kolacyi goście się rozjechali, i Kasia znalazła

się sama w swojej komnacie, pierwszy raz od powrotu czoło zasepiła jakaś myśl smutna i jakieś wspomnienie zamąciło jej spokój.

Ogień na małym kominku gorzał, i jasnym płomykiem oświecał całą sypialnię. Dziewica zamiast zwyczaju swego po odmówieniu modlitwy wieczornej, udania się na spoczynek, usiadła przy kominku, i w ogień zwróciła tęsne spojrzenie.

Tak siedząc zadumana, dziwnego doznawała wrażenia: drobne polana dębowe i brzoźowe które dorzuciała na kominek, gdy te z trzaskiem się zapalały, przywołyły jej na pamięć huczną muzykę z balów i zabaw warszawskich, a każda iskra ulatująca w górę, zamieniała się w postać to tancerza, to tancerki, ale pierwszych była większa liczba.

A na czele ich stał ów oficer od złotych huzarów tak dorodny, tak zgrabnie a z życiem tańczący mazura, jej nieodstępny prawie tancerz; widmo to wszelako prędko znikło, a z pośród gęstego dymu, wyleciała iskra większa, która zaraz przemieniła się w postać nie tak strojnego oficera z legii, który za ledwie parę razy z nią tańczył. Wysokiej postaci, smukły, twarzy pociągłej o męzkich rysach, ogorziałej słońcem Italii i skwarem Hiszpanii, brunet, a wąs kruczey i oczy czarne, nadawały całemu obliczu wyraz niezwykły. Widziała go na każdym balu, na każdym tańczącym wieczorze gdzie siękolwiek pojawiła, i odbierała od niego hołdy najwyższej czci i uszanowania.

Zwykle mało tańcował, zdala stał od niej, lecz za to spojrzenie jego przykute było do pięknej tancerki. Wśród najweselszej rozmowy, z otaczającym ją gronem wielbicieli, czy w kontredansie, czy w kole do mazura, zawsze spotykała oczy legionisty jaśniejące ogniem, które nabierały szczególnego blasku i rzewności, gdy jej spojrzenie padło na stojącego samotnie wojaka. Promień tych oczu wywoływał wtedy zawsze żywy rumieniec na jej licu; serce uderzało jakimś niepokojem, zapomniała o zabawie, głucha dla niej muzyka, radaby tylko ażeby stał przy niej bliżej i przemówił, bo głos jego męzki, szczególniejszy dźwięczny i harmonijny, miał dla niej urok nieopisany.

Na ostatniej zabawie spełniły się jej życzenia: złoty huzar był na służbie w koszarach Mirowskich, Kasia zmęczona i stęskniona mało tańcowała. Legionista stał przy niej i zajmującą prowadził rozmowę, opisując z poetycznym zapałem tak Włochy, jak Rzym z Kapitołem, zarówno jak jej myśl przenosił to w mury Madrytu i Saragossy, gdzie ciężkie rany otrzymał.

Słuchała tych opowieści z widocznym upojeniem: w końcu rzekł do niej:

— Wiem że pani wkrótce opuszczasz Warszawę, mnie obowiązki moje powołują daleko!

I po tych słowach smutnie głowę opuścił na pierś, na których jaśniały trzy krzyże, ale po chwili podnosząc ją, wyrzekł drżącym głosem z cicha:

— Ale gdziekolwiek Bóg mnie poprowadzi, i jakkolwiek dolę zgotuję, wierz mi droga pani, że twój obraz zachowam do grobu w myśli i sercu.

To wyrzekłszy ujął jej drobną rączkę, pocałował kilkakrotnie i znikł w tłumie gości.

— Kto to jest? — zapytała starościna — co z tobą tak długo, a tak czule rozmawiał.

— Nie wiem moja ciociu — odrzekła panna Katarzyna zapłonią: widuję go na balach i wieczorach gdzie bywamy, niewiem nawet jego nazwiska.

Starościna wtedy zwróciła się do podsiwiałego szambelana, prosząc aby się dowiedział szczegółów o tym oficercie. Szambelan niedługo powrócił i z cicha przemówił:

— Jest to kapitan grenadyerów, Tadeusz Nekanda, któremu sam cesarz Napoleon krzyż Legii honorowej z własnej odjęty pierśi, przypiął i pocałował. Ubogich rodziców, ale ze starego rodu; żołnierz nieustraszony, w pośród męnych najmężniejszy. Księżna (tu się nachylił do ucha starościny i wymienił jej nazwisko) szalenie w nim się pokochała, ale on te zaloty ze wstrętem odrzucił, i księżna zaprzysięgła mu swą zemstę. Lecz wszelkie jej zabiegi nie niepodobały, bo on na polu bitwy szedł jak bohater, i zawsze podziw swych dowódców i kolegów wywoływał zimną krwią i szaloną odwagą.

— Mój szambelańsiu kochany, mówiła starościna, sprowadź go do mnie, a teraz mi go przedstaw.

Długo daremnie szukał Nekandy, aż znalazł go przecie i przywiódł przed starościne.

— Bardzo rada jestem poznać tak dystyngowanego oficera, wyrzekła najuprzejmiejszym tonem, i proszę zaszczyścić mój dom swoją bytnością. Żaluję że moja siostrzenica opuszcza Warszawę, bo byśmy obiedwie starały się uprzyjemnić mu chwilę.

Panna Katarzyna czuła że jej krew uderzyła do twarzy, zasłoniła się więc wachlarzem, a dorodny oficer, z poważnym obliczem, odrzekł oddając jej głęboki pokłon.

— Pani starościno, zaprosiny takie są dla mnie zaszczytem, i starać się będę godnie im odpowiedzieć. Jeżeli pułk mój nie wyruszy z Warszawy, stawie się niewątpliwie ażebym złożył hołd mój i uszanowanie.

Kiedy po tych słowach odszedł, starościna mówiła do dawnego przyjaciela:

— Szambelański! to miły bardzo oficer, a co mnie w nim zachwyca, to ta powaga mężka, obok postaci dzielnego żołnierza.

Późno w nocy rozjeżdżano się, niewidziano go w sali, ale panna Katarzyna ujrzała Nekandę jak czekał w przedsiönku i trzymał na ręku, starościny i jej salopy. Okrył najprzód ciotkę której towarzyszył szambelan, sam podał pannie Katarzynie rękę i sprowadził do czekającej karety. W chwili, gdy więcej sami byli, rzekł z cicha:

— O! gdyby tak razem przejść całe życie! I całując jej rączkę, przycisnął do serca. Drżące dziewczę spojrzało nań i spotkało jego oczy jakby mgłą smutku obwiane.

— Do widzenia panie kapitanie! proszę nas niezapominać, przemówiła uprzejmie starościna; pannie Katarzynie też w piersiach zabrakło, skłoniła mu tylko wdzięcznie główką.

Za powrotem z balu zastała już przybyłą matkę swoją, która przyjechała zabrać ją z sobą; żalność nieznaną ścisnęła jej serce: ale nazajutrz swobodniej odetchnęła, gdy szambelan doniósł że pułk w którym służy kapitan Nekanda, równo ze światem już z Warszawy wymaszerował.

Wszystkie te szczegóły stanęły teraz żywo przed jej oczyma, wierna pamięć odżywiała jeden po drugim. Na dużym zegarze w jadalni, zegar uderzył dwunastą z północy. Wstrząsła się cała, myśl jej uleciała na pole walki, gdzie ze swą chorągwią podążał Nekanda. Jakis niepokój ją opanował i rzewliwym płaczem zakończyła swe marzenia.

Po zapustach pan szambelan bawiąc u krewnych w pobliżu dworu państwa Zaleskich, jako dawny znajomy przybył w odwiedzin. Przyjęty gościnnie po staropolsku, niemógł się im naopowiadać, jakie wrażenie wywołała ich córka w całym świecie elegancyi warszawskiej.

— Moi przyjaciele! na honor powiadam wam, cała młodzież głowy potraciła dla panny Malwiny, a serca kładła pod jej stopki drobne, aby je deptała. Wieluż to pani mimowoli życie zatrułaś (mówił zwrócony do Kasi), bo też przyznać na honor muszę, że gdzieś się tylko pokazała, byłaś prawdziwą królową.

— To też dlatego (odrzekła z rzewnym uśmiechem) prędko opuściłam Warszawę nie pragnąc tego zaszczytu.

— Kogo mi żal (mówił jakby do siebie) to dzielnego kapitana Nekandy,

— Dlaczego?—zapytała gospodyni domu.

— Dlaczego?—i pani mnie o to pytasz? Dlatego że się szalenie zakochał w pannie Malwinie; ale cóż biedak! całym jego majątkiem tylko szabla—i trzy krzyże „virtuti militari, legii honorowej i neapolitański,“ a gdy się dowiedział o posażnym wianie, powiedział do swego przyjaciela, który mi całą rozmowę z nim powtórzył.

— Wolę umrzeć niż być posądzonym zem takiego anioła pokochał nie z uczucia czystej miłości, ale dla marnego złota. Idę szukać śmierci na polu bitwy—tam mnie ona nie minie!

Panna Katarzyna rzęcznie wybiegła z sali, i dopiero w swej komnacie rzewnym wybuchła płaczem.

— O mój Boże!—mówiła—i on mógł mniemać, że go posadzę o taką podłość! Trzeba się było jednak prędko utulić, łzy i oczęta zapłakane otrzeć, przybrać uśmiech na zbladłej twarzy, aby utać tajemnicę serca. Jakoż wróciła niebawem, a znalazłszy rozmowę na inny przedmiot zwróconą, chętny w niej brała udział: czuła tylko oko matki kochającej odkryło, co jej tak gwałtowny niepokój przyniosło. Po odjeździe też szambelana, w samotnej

rozmowie z córką, dobadała się całej tajemnicy.—Zacna matrona, nie starała się tego uczucia potępić, ale pocieszała nadzieją biedne, strapione dziewczętko swoje.

Wypadki ówczesne szczególniejszy posłużyły. Był to rok 1809. W pobliskiej okolicy zaszła bitwa z Austryakami, od wschodu słońca grzmiały działa, i salwy ręcznej broni; echo je odbijało o ściany dworu, w którym matka z córką, gorącą wznosiły modlitwę. Była ona zwyciężką, opłaconą przeciw wielą ofiarami. Kapitan Nekanda, już podpułkownik, prowadząc na bagnety swój batalion, otrzymał postrzał w nogę i został przywieziony z kilku rannymi do dworu państwa Zaleskich. Uplywem krwi osłabiony, omglał i bezprzytomnego wnieśli do jednego z pokojów obszernego dworca. Twarz miał bladą, oczy zamknięte, włos kruczy kurzawą walki okryty. W tym stanie zobaczyła go Kasia. Przypadła do kolan matki i łkając wołała:

— Matuchno złota! ratuj go! to on! to on! ja po nim umrę!

Nie zważała że ojciec słyszał te słowa i widział rozpacz swej jedynaczki. Zwrócił się więc żywo do pokoju w którym Nekanda leżał, i wkrótce powróciwszy wyrzekł spokojnym głosem:

— Dzięki Bogu! pułkownik oprzytomniał, kulą z nogi wyjętą. Doktor zapewnia że wkrótce będzie zdrow, tylko potrzebuje dłuższego spoczynku i troskliwości, bo dużo krwi utracił.

Kasia słysząc te słowa, porwała rękę ojca, a całując serdecznie, łzami radości skropiła.

Matka zajęła się chorem, a po paru dniach i córka odwiedziła rannego. Jakież było jego zdziwienie i szczęście, gdy ją ujrzał i dowiedział się, że w domu jej rodziców znalazł ratunek i opiekę. Krótko jednak oddawał się swemu zachwytowi, myśl o posagu tej którą tak ukochał, zasnęła jego czoło. Stał się poważnym i chłodnym w obejściu, uśmiech uciekł z ust jego: a gdy w towarzystwie matki Kasia się zbliżała, odwracał głowę i zamykał oczy.

— On mnie już nie kocha! mówiła tego wieczoru płacząc do matki. Widzę że ma nawet wstręt do mnie.

Daremne były słowa pociechy strapionej rodzicielki, w tej trosce swojej zawezwała pomocy sędziwego proboszcza. Przed nim, jakby na spowiedzi, wyjawiała całą tajemnicę, a kapłan wziął na siebie załatwienie tej sprawy. Skoro pułkownik dzwignął się z łoża, i chociaż na kulach zaczął używać przechadzki w ogrodzie, poznajomiony już z nim dobrze, zwrócił rozmowę na stan jego zdrowia.

— Dzięki Bogu mój księże proboszczu, czuję się coraz zdrowszy, winienem to troskliwości jaka mnie otacza, to też nie długo i pożegniam ten dwór gościnnie.

— Nie sądzę mój pułkowniku, ażebyś go z lekkim sercem opuszczał; przemówił poważnie kapłan.

— Jakto rozumiesz mój księże proboszczu?—zawołał poruszony do żywego Nekanda.

— Nie lubię słów obwijać w bawełnę—odrzekł proboszcz—jako sługa ołtarza żyję prawdą, a jako i wasz kolega, mam to na języku co i w sercu.—Kochasz naszą panienkę, warta tego, bo to istny anioł ziemski—z zanego rodu, skromna, pobożna i rozumna. Teraz przychodzą ci skrupuły że ma duży posag, właśnie dlatego samego potrzeba jej takiego jak ty pułkowniku męża, coby miał charakter i energię mężką, obok szlachetności duszy. Ona cię pierwszą ukochała miłością, opuścić ją i zostawić rozpacz, przynieść żalobę w ten dom—honor ci zabrania. To ci miałem powiedzieć! Rodzice gotowi przyjąć cię za zięcia, a ja czekam chwili radosnej abym was widział na ślubnym kobiercu, i przy ołtarzu pobłogosławił!

Na te słowa pułkownik rzucił się w objęcia proboszcza, a potem gwałtem ręce jego całował w uniesieniu radosnym.

— Ty mi wlewasz nowe życie! Niech ci Bóg płaci! Idź kolego i bracie i prosz rodziców o chwilę rozmowy.

Panna Katarzyna chociaż zdala śledziła całą tę rozmowę, i widziała ostatnią scenę, wróżącą pomyślny obrót całej sprawy. Cichaczem więc pobiegła do swej komnaty, i chociaż serce biło jakby młotem, usiadła jak trusia.

Niedługo przywołano ją do sali, gdzie w obecności proboszcza pułkownik złożył uroczyste oświadczenie rodzicom o rękę ich jedynaczki, czekano tyl-

ko na jej zezwolenie. Niezawiodła oczekiwania wszystkich, chętnie poddała swą rękę Nekandzie, który ją we dwa miesiące zawiódł za stopnie ołtarza.

Przytoczone przez nas zdarzenie, osnute we wszystkich szczegółach na rodzinnej tradycyi, uwydatnia tę myśl szlachetną, całej tamtoczesnej społeczności, i przez młodzież jako akt wiary przyjętą, że związek małżeński może się jedynie kojarzyć czystem uczuciem miłości, nie widokami na bogate wiano.

Pułkownik Nekanda jest przedstawicielem całej generacyi młodzieży tego okresu (Rok 1800—1815). Spekulanci na posagi byli wyjątkami. Jeżeli w rodach magnackich łączono pary małżeńskie w widokach majątkowych lub familijnych, pomiędzy szlachtą od najzamożniejszej do najuboższej, tego rodzaju frymarki należały do osobliwych zjawisk. Ztąd też gdziekolwiek rzucił się okiem czy po dworach wiejskich, czy po mieszczańskich domach, uderzały w oczy obrazy patryarchalnego życia w rodzinach. Wszędzie, gdzie była nawet chudoba, szły w parze miłość i zgoda, a przy pracy i skromności, nie nie zakłócało spokoju i szczęścia domowego ogniska. Rodzice nie troszczyli się o wydanie za mąż córki, bo był to zwyczajny porządek rzeczy, ale dbali o jej wychowanie, ażeby przygotować ją do wielkich obowiązków w przyszłym życiu jako żony, matki i obywatelki. Młodzieniec idący za uczuciem serca, zwracał głównie uwagę na rodzinne gniazdo swojej bogdanki, na przymioty jej duchowe, nigdy rachuba posagu nie brudziła, czystej jego myśli. Rachował tylko na swoją pracę, towarzyszyła jej błoga ufność i uśmiechająca się nadzieja, a pragnął szczerze miłości przyszłej towarzyszki życia; miał też szerokie i otwarte pole do zdobywania sobie przyzwoitego utrzymania czy na roli, czy w zawodzie życia publicznego.

Z tych licznych rodzin wychodzonych w atmosferze tak czystej, której pierwiastkiem i głównym żywiołem było uczucie miłości; jednostki dziewięć i młodzieży wychodzące w świat obywatelski, były kwiatami społeczności polskiej. Czołowiek też układała się harmonijnie, a życie narodu rozwijało się w duchowej czerstwości. Najuboższy młodzieniec, ze wstrętem, wzgardą i oburzeniem przyjąłby takiego, któryby odważył się podać mu radę, ażeby dla bogatego posagu, starał się o rękę panny której nie kochał, pomimo polecenia uroczystego, że dobrze będzie przyjęty. Uważał bowiem za ujmę własnej godności mężkiej, ażeby żył, jak wyrażano z *fantuszką* swej żony. Zналиśmy wiele wypadków, w których zakochani w bogatych pannach porzucali je dlatego, ażeby nie sięgnęli na siebie hańbiącego zarzut, iż zalecali się dla pieniędzy. Miłość gorąca dla takiej wybranej zachowywali głęboko w sercu, do grobowej deski i najczęściej w samotności resztę życia spędzali, nie wstąpiwszy na ślubny kobierzec. Na zapytanie dlaczego się nie poženili, zwykłą ich odpowiedzią było:—„Cóż chcesz, panna bogata, ja chudziak, za wysokie były proggi na moje nogi.“

Jeżeli dziś pannę posażną, uważać można za nieszczęśliwą istotę niemogącą znaleźć pewnej ręką, czy ten którego ukochała, stara się o jej rękę dla jej przymiotów, czy też dla bogatego wiana, i najczęściej, pada ofiarą uczucia, odkrywając w mężu spekulanta; w okresie zajmującym naszą uwagę nie była narażoną na taki zawód i niedolę.

Jeżeli otoczona czcią dla siebie należną, odbierała hołdy zasłużone, jeżeli z całym zaufaniem mogła wierzyć w prawdę uczuć wypowiedzianych przez mężczyznę, który w te czasy szanował godność swoją i kłamstwem ust niepokalał, to ileż niepokoi doznawać musiała, jakiej nieraz straszliwej roli i boleści, w czasach tak burzliwych przepęfnionych ciągnęła prawie wojenną wrzawą.

Nieraz z balu dorodni tancerze opuszczali swe piękne towarzyski, idąc w marsz pospieszny; nieraz po tańczącym wieczorze, ztrudzeni i nieochłodli, nucąc sobie śpiewne melodye, biegli na pole bitwy.

Tak bywało w czasie kampanii 1809 r. od kwietnia do lipca, i często przynoszono albo ich trupy do pogrzebu, albo rannych do tych samych rodzin, w też kółko przyjacielskie czy pokrewne, w którym wczoraj ochoczo wywijali mazura i radośnie śpiewali krakowiaki. Powabne ich tancerki teraz jak siostry miłosierdzia, czuwały nad niemi, i delikat-

nemi rączkami opatrywały rany, podawały lekarstwa lub pożywną strawę. A wojacy mieli się za szczęśliwych pod tak miłą opieką, mniej doznawali bólu, gdy nad nimi czuwał taki anioł pociechy.

Wdów po mężach, a po narzeczonych wdów dziecie, coraz liczniejsza powstawała družyna.

Zaledwie po bitwie pod Jena 1806 r., nowy okres dziejowy otworzył się dla części naszej społeczności, walka 1807 r. zawrzała; w półtora roku napała armia austriacka w pierwszych dniach kwietnia 1809 r. i bój bez przerwy ciągnął się do połowy października.

Na początku czerwca 1812 roku rozpoczęła się smutna kampania przeciw Rosyji, lekkomyślnie rozpoczęta, w zarozumiałości i pysze zwycięzcy świata, to też zakończona pamiętną klęską, w której wielka armia francuzka zginęła prawie do szętu, a cesarz Napoleon I zdawszy nad jej szczątkami dowództwo Muratowi, saneczkami jednokonnymi uchożąc z pogromu, przybył do Warszawy d. 10 grudnia tegoż roku, i przenocowawszy w hotelu angielskim, u posła swego księdza Pradt'a, pospieszył nazajutrz przez Drezno do Paryża.

Postrach, przerażenie i rozpacz poprzedziły jego przyjazd do Warszawy, i zalały rzewnymi łzami oczy sędziwych matron, żon i dziewic polskich, co zadrżały o los synów, mężów, braci i narzeczonych, z których więcej jak trzy części poległo na tej wyprawie.

Teraz już nie setki jak dawniej zastępów niewiast naszych, ale tysiące z rozdartym sercem bolało po starych dworach modrzewiowych, zarówno jak w pałacach, po zaściankach szlacheckich, po wioskach, jak po wszystkich miastach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Maju 1874 r.

Panuje w Paryżu od kilku już tygodni wielki ruch artystyczny—wystawa po wystawie.—Mamy ich aż dwie na raz w tym miesiącu: jedna wyjątkowa, druga zaś jest to ekspozycja sztuk pięknych, otwierająca się co rok pierwszego maja w gmachu przemysłowym, na polach Elizejskich.

Chęć przyjsia w pomoc kolonizującym się w Algierze wychodźcom z Alzacji i z Lotaryngii, podała ludziom serca myśl urządzenia artystycznej wystawy na ich korzyść. Przyłożyły się do tego dzieła najznakomitsze rodziny francuzkiej szlachty, jak również wielka liczba amatorów, posiadających kosztowne i rzadkie zbiory różnego rodzaju.

Wystawę tę nazwać można kroniką artystyczną Francji, obejmującą prawie sześciowiekowy peryod, to jest od XIV wieku aż do obecnej chwili.

Prezydentem tej wystawy jest hrabia d' Haussonville. Odbywa się ona w pałacu Bourbon, który służył za rezydencję prezydentowi Izby prawodawczej. Wejście do niej jest od strony Quai d'Orsay, przez dawną salę Des pas-perdus (izby deputowanych), w której znajdują się rozłożone pod obszerne witrynami okazy różnego rodzaju emalii, haftów, koronek i t. d.; figurują tam także średniowieczne instrumenta muzyczne ze zbioru pana Jubinal, i najrozlicniejsze inne przedmioty różnych epok.

Galerya balowa pałacu prezydenta mieści kolekcję portretów, należących do najznakomitszych szlacheckich rodzin, między którymi znajduje się kilka portretów nieszczęśliwej Maryi-Antoniny.

Przeciwnie galerya zapełniona jest obrazami różnego pochodzenia, w których liczbie są dwa oryginalne Rafaela.

Mały jeden salonik poświęcono malarstwu szkoły francuzkiej XVIII wieku. Figurują tam: Watteau, Greuze, Lancret, C. Vernet i t. d.

W innej sali, pod ogromną witrzyną, złożono ciekawe manuskrypta należące do panów Firmin Didot, Labitte, i do księcia de Chartres.

Kollekcyje broni hrabiego Paryża, księcia d'Uzes i margrabiego de Ganay, są bardzo ciekawe, jak również medale średniowieczne pana Drejfusa. Perłą tego salonu jest statua srebrna Ludwika XIII, przez Ruda, należąca do księżnej de Luyens.

W kolekcyi obrazów księcia d'Aumale, która jest jedną z najznakomitszych, trzyma pierwsze miejsce Matka Boska Rafaela, zwana: la Vierge de la maison d'Orléans.

Inne salony zapełnione są okazami starożytnych mebli i bronzów. Są tam posągi, obicia, a w jednym z nich, wśród rozmaitych pamiątek historycznych, figuruje sztandar Karola Zuchwałego, z bitwy pod Nancy, należący do margrabiego de Ganay.

Rodzina Rothschilda, złożyła się na kolekcyję kryształów, bronzów i klejnotów i zapełniła nimi cały jeden duży salon.

W poniedziałek płaci się od wejścia 5 franków, a w dni powszednie franka tylko.

Jest to pod względem artystycznym i historycznym najświetniejsza ze wszystkich wystaw europejskich, jaką zdarzyło mi się widzieć w mem życiu.

Skupienie wszystkich gałęzi sztuki różnych epok, splecionych nierozwiązanem ogniwem historycznych pamiątek jednego z najdzielniejszych narodów, w obec faktu, który to spowodował, jest świetną, a razem bolesną artystyczno-moralną antytezą, którą odczuje gorzko niejedno uczciwe francuzkie serce.

* * *

Jest rodzaj męczenników, z których żaden z pewnością nie otrzyma nigdy palmy—tortury ich jednak, chociaż bez krwi wylewu, zasługują na współczucie serc delikatnych.

Nie wątpię, że na przyszłą wystawę pędzel jakiegokolwiek realisty uwieczni ich pamięć. Znajdzie się może nawet jaka dziewczica artystka, której tkliwe serce przystępniejsze uczuciu ludzkości, popełni ją do wykonania tego dzieła, tem więcej, że postacie tych męczenników nie mogą narazić nigdy skromności niewieściej na niemile i prozaiczne studia anatomiczne. Każdy z nich bowiem staje do męczeństwa odziany przyzwoicie, z krawatką na szyi, z cylindrem na głowie i w rękawiczkach.

Męczennikami tymi są korespondenci dzienników, na wystawie paryzkiej sztuk pięknych. Kto niedowierza, niech spróbuje rzemiosła, a odejdzie pewno skruszony.

Tortury tych biedaków są potrójne. Najprzód przechodzą przez straszliwą chłostę migawki rozmotylonych po ścianach obrazów, których jaskrawożłosiwe barwy szarpają wzrok i wstrząsają cały systemat nerwowy, grożąc co chwila apopleksją. Druga faza tej tortury wynika z krzyżujących się efektów różnych przedmiotów, ciągnących wzrok to na prawo, to na lewo, tak, że nie jeden korespondent obdarzony z natury przyjemnymi i zdrowymi oczyma, patrzącami prosto, wychodzi z tej okropnej próby zupełnie zezowatym. Najcięższą jednak męczarnią, jest widok niektórych utworów artystycznych. Ta duchowa katownia nie daje się opisać. Postacie te, jedna bez szat inne w szatach, zamienione w duchowe widziadła, ścigają biednego korespondenta jak Eumenidy, nawet we własnej jego komnacie, na łóżku spoczynku. Ale dość tych skarg—przystąpmy do rzeczy.

Tegoroczna wystawa obfitsza jest ilością obrazów od zeszlatorocznej, ale daleko późniejsza pod względem wartości artystycznej. Zwiedzałem już ją dwa razy, ale liczba różnorodnych mierności jest tak wielka, że nie mogłem dotąd wszystkiego przepatrzyć, ponotowałem tylko cenniejsze obrazy, i o tych jedynie dziś mówić będę.

Ponieważ obraz Bonnata narobił tu wiele hałasu, zacznę więc od niego.

Bonnat, należy do szkoły realistów, ale w dobrem znaczeniu tego wyrazu i jest malarzem pierwszorzędного talentu. Tak samo jak Landelle, co maluje ciągle Egipcjanki, ma on także swój przedmiot ulubiony, który z małym wariantem powtarza co rok—różni się jednak oni tendencją. Landelle jest jednym z tych przyzwoitych malarzy mieszczańskiego gustu, co nie považają się nigdy odmalować nagości—fi! c'est incovenant... jego typy kobiece,

są prawie wszystkie w czarnych gazowych tunikach—ale gaza tak jest przezroczysta, poży tak lubieżnymi, a wietrzyk tak niedyskretnym, że otwierają wyobraźni nieograniczone pole;—intencja artysty wyrwa się z pod osłony, skacze w oczy i wdziera się do ducha; gdyby malowidło Landella było mniej wymuskane, utwory jego byłyby jeszcze zarazliwsze.

Bonnat nie bawi się w tę grę—ulubionym jego przedmiotem jest Włoszka lub Pirenejska góralka w malowniczym swoim stroju, z dzieckiem na ręku; wdzięczne typy miłości macierzyńskiej i niewinności dziecięcej, a tak świeże, czyste, pełne zdrowego życia, że mimowolnie rozpromienia się myśl i serce, patrząc na nie. Tegoroczna jego Włoszka z małym dzieckiem, które uczy chodzić, jest cudnie pięknym utworem.

Otóż ten sympatyczny artysta dał się skusić chęci zrobienia obrazu religijnego i odmalował Chrystusa na krzyżu, a tak rozwinął swój realizm w tem malowidle, że gdyby nie katalog, który nakazuje wierzyć, że to jest Chrystus, możnaby sądzić, że obraz ten przedstawia jednego z ukrzyżowanych łotrów.

Realisci nazywają ten utwór areydzieniem—patrzcie! mówią, co to za uwydatnienie ciała—jakie kurczowe naprężenie muszkułów i wypaczenie kości i t. d. Wszystko to prawda. Widać, że artysta zna doskonale anatomię i rysunek; nikt go nie posądzi o brak znajomości technicznej, ale to nie wystarcza do odnania najwznieślejzego typu, jaki istniał w ludzkości—potrzeba natchnienia.

Jeśli twarz rycerza, co padł z bronią w ręku wygląda inaczej po śmierci niż twarz teńorza lub zbrodniarza, o ileż promienniejsze musiało być po śmierci oblicze Boga człowieka, którego bronią była miłość, co nie wziął ani kropli nieczyjej krwi, a dał swoją dla dobra ludzi i skonał ze słowem przebaczenia na ustach.

Potrzeba być istotnie grubym realistą, aby odmalować Chrystusa, którego postać budzi wstręt i przestrach a nie modlitwę.

Munkacsy (rodem Węgier), wystawił obraz przedstawiający biuro Lombardowe (Le Mont de Pieté). Kilka osób, z których każda należy do innej warstwy społecznej, czekają w biórze swojej kolei, dla zastawienia przyniesionych rzeczy. Przedmiot, zdaje się, błahy, a jednak artysta stworzył z niego porywającą całość. Każda z tych postaci przedstawia osobny dramat.

Doré odznacza się zawsze wzniosłością swoich pomysłów i niezrównanym talentem kompozycyj. Kreaacy jego tegoroczna „les martyrs chrétiens“ jest cudnie piękna. Noc—w arenie cyrku leżą porzucane ciała męczenników. Tu i owdzie czerwienieją kałuże krwi. Lwy i tygrysy przechadzają się pomiędzy trupami, lub siedzą pochylone nad nimi. Światło księżyca oświeca tę scenę, a z przeciwnej strony na ciemnym tle nieba widać spływających z góry aniołów, z których jeden dotyka prawie ziemi. Efekt tego obrazu jest zachwycający.

Na ten raz tyle tylko o wystawie. Obejrzawszy ją dokładnie, w przyszłej korespondencji podam treściwe o niej sprawozdanie.

* * *

Chociaż zasadą jest moją, że nigdy żaden względ światowy nie powinien być przeszkodą dla pisarza, do poruszania przedmiotów, które zdają mu się być godnymi uwagi publicznej, wyznam jednak szczerze, że czuję się w obecnej chwili bardzo zakłopotanym, bo fakt o którym mówić mi wypada, ma charakter tak fenomenalny, iż rodzi się we mnie obawa, abym nie był posadzany o halucynację, albo jeszcze gorzej—idzie bowiem o wkroczenie widome duchowego świata w dziedzinę sztuki. Nie miejcie mi więc za złe łaskawe czytelniczki, jeśli *pour entrer en matière* i dla dodania sobie animuszu, zacznę od pogadanki... o polowaniu.

Jako jeden z najgorliwszych członków bractwa św. Huberta, mam na sumieniu mojem wielką liczbę krwawych mordów, ale mam także zapisanych w pamięci niemało ciekawych łowieckich epizodów. Jeden z nich posłuży mi dziś za nitkę do owego *duchowego kłębka*, który tak mocno mnie ciemni. Polowałem raz z gończakami. Spodziewając się

że psy natrafia na lisa, stanąłem w gęstwinie na upatrzonym przesmyku, tuż obok ścieżki wijącej się pomiędzy skałami, pewny, że się z nim spotkam. Niebawem ozwała się trąbka dojeżdżacza, i jednocześnie, niby śpiew minorowy, dało mi się słyszeć ujadanie *Barytona*, naczelnika czworonożnej bandy wirtuozów, zławiającego po tropach. Nie długo trwało to żalosne solo, nagle rozległa się po lesie muzyka całej orkiestry: schwycili zwierza na oko. Drgnąłem jakby pod stosem Wolty; zwiódłem kurki od dubeltówki i wyciągnąwszy naprzód szyję, wyłożyłem wzrok ku stronie, żąd dawały się słyszeć głosy zbliżających się ogarów. W tem niedaleko odemnie, ozwała się raptem jakieś przeraźliwe skrzeczenie. Zrazu nie zwracałem na to szczególnej uwagi; ale skrzeczenie to stało się w końcu tak nieznośnym, że lękając się, aby nie odgoniło odemnie lisa, który jak wiadomo jest niesłychanie czujnym i ostróżnym, postąpiłem kilka kroków naprzód, w myśli sflószenia niedyskretnego sąsiada; przekonany byłem, że będę miał do czynienia z jakim skrzydlatym mieszkańcem lasów, w kłótni ze swą połowicą, bo wiadomo, że zatargi tego rodzaju, nie są wyłącznie w obyczajach ludzkich. Poszukiwanie moje nie długo trwało, spostrzegłem jakieś żyjątko podskakujące na ścieżce. Zbliżyłem się ostrożnie, aby przypatrzyć się małemu tancerzowi i przekonać się czy głos ten pochodzi od niego lub nie. Jakoż, poznaję tancerza, czyli raczej tancerkę; była to mała żabka zielonego koloru, podskakująca i skrzecząca rozpaczliwie. Kiedy wodzę wzrokiem szukając przyczyny tych spazmów, spostrzegam tuż na przeciw żabki dużego węża wyprężonego jak struna, którego oczy zwrócone na żabkę świeciły krwawym blaskiem jak dwa rubiny. Skrywszy się za drzewo, czekałem cierpliwie rozwiązania tego dramatu. Wąż był nieruchomy. Koniec tylko jego ogona poruszał się czasami na chwilkę lekkim drżeniem i znowu się wyprężał. Żabka skrzeczała ciągle, podskakując konwulsyjnie na miejscu — trwało to kilka minut. Potem, nagle jakby pociągnięta niewidzialną siłą, poczęła skakać ku wężowi i znikła mu w pysku. W tej samej chwili, mignęła mi przed oczami o kilkanaście kroków lisia kita — mszcząc się więc śmierci żabki i straconego lisa, wypaliłem do węża i przyznam się, że zabójstwa tego dopełniłem z pewną rozkoszą.

Ponieważ w owym czasie należałem do liczby tych co naśmiewali się z Mesmera i z jego zwolenników, leśna moja przygoda dała mi wiele do wymyślenia, gdyż była niezbitym dowodem, że magnetyzm zwierzęcy istnieje. Jakoż fakt ten stał się dla mnie pobudką do pilnego śledzenia i badania wszystkich objawów będących z nim w jakiejkolwiek łączności.

Pełz to razy później gdy patrzyłem na młode i niewinne panienki, drżące pod rozognionym wzrokiem salonowych węży, lub na paniczów osłupiałych pod magnetyzującym wejrzeniem światowych Messalin, przychodziła mi na myśl owa biedna żabka!

Pomniejsze poszukiwania na tem polu zapoznały mnie ze sztucznym somnambulizmem ¹⁾, tak płodnym w objawy nieprzystępne dla rozumu, tak wyśmiewanym niegdyś przez głupich i mądrych, a mającym dziś powszechne uznanie, poparte poważnym świadectwem najwyższych znakomitości naukowych.

Arago mówiąc o magnetyzmie i sztucznym somnambulizmie, tak się wyraża: „Wątpliwość w rzeczach trudnych do zbadania rozumem, jest często dowodem skromności, a rzadko kiedy zaszkodzić może nauce — nie tak się zaś rzecz ma z przeczeniem wprost sceptycznym. *Celui qui en dehors de mathématiques pures, prononce le mot: Impossible... manque de prudence*”.

Pozwólcie teraz abym wam opowiedział ową nadzwyczajną nowinę do której tak mi trudno było od razu przystąpić.

Na początku zeszłego miesiąca jeden z dobrych moich przyjaciół będąc z wizytą u Amerykanów zamieszkałych w Paryżu, zastał tam spirytystkę czy spirytkę, opowiadającą obecnym o doświadczeniach fotograficznych jakiegoś francuza spiryty, który wywołuje duchy — i na poparcie swego twierdze-

nia, pokazała fotograficzne odbicie, przedstawiające jej portret, obok którego znajdował się wizerunek jej córki, zmarłej od roku, a tak podobny, że niektórzy z obecnych co znali tę dziewczynkę za życia, poznali ją natychmiast.

Przyjaciel mój wracając z wizyty zaszedł do mnie i opowiedział mi ten fakt ze wszystkimi szczegółami. Jakkolwiek zakrawało to wyraźnie na mistyfikację, wierny jednak memu systemowi, postanowiłem sprawdzić rzecz naocznie. Udałem się więc nazajutrz pod wskazany mi adres.

Fotograf nazywa się Buguet i mieszka przy bulgarze Montmartre Nr 5.

Jest to człowiek średniego wieku, wysokiego wzrostu, trochę pochyły. Rysy jego są dość pospolite; ale gęsty zarost i zrośnięte szerokie brwi, z pod których wygląda zagadkowe wejrzenie, nadają jego obliczu wyłączną charakterystykę duchową, właściwą wszystkim w ogólności spirytom.

Przytaczam tu dosłownie moją z nim rozmowę, posłuży może ona kiedyś za dokument do tej sprawy.

Po kilku wstępnych słowach przystąpiłem do kwestyi.

— Słyszałem że pan wywołujesz—fotografujesz duchy?

— Tak jest istotnie.

— Czy możesz mi pan pokazać jedną z takich fotografii?

— Najchętniej.

Przyniesiono natychmiast całą kolekcję tych wizerunków — było ich dwa rodzaje: fotografie samych duchów, wywołiwanych osobno i portrety rozmaitych osób, obok których figurowały różne widma.

Przejrzałem wszystkie egzemplarze z pilną uwagą. Rozmaite kształty i rysy tych zagrobowych postaci, dziwne ich pozy, są tak niezwykłym widowiskiem dla oka, że mimowoli, przy budzących się jednocześnie wątpliwościach, oglądałem je z pewnym zajęciem.

Kiedy po przepatrzeniu tej kolekcji zwróciłem ją fotografowi, rozłożył on przedemną książkę w której znajdują się wpisane własnoręczne świadectwa wszystkich osób, zadowolonych z podobieństwa swoich nieboszczyków. Jest ich wielka liczba. Własnoręczny i obszerny list księcia Witgensztejna, należy do najpochlebniejszych świadectw, jakie się mieszczą w tej księdze.

— Czy pan gwarantujesz (zapytałam fotografa) że zawsze duch wezwany stanie.

— Bynajmniej—nie jest to w mojej mocy—zwykła proporcja jest od 15 do 40 na 100 a reszta są to duchy nieznanne.

— Jakim sposobem doszedłeś pan do tego?

— Przed kilku laty byłem artystą dramatycznym i namiętnie oddany swemu zawodowi. Nagle ni ząd ni z owąd, pochwyliła mnie niepowściągnięta chęć zostania fotografem — po 6 miesięcznej praktyce prześcinawszy moich nauczycieli, zacząłem pracować na własną rękę. Kiedy fotografowałem raz pewną damę, wyszło na raz dwa wizerunki. Sądząc że to było skutek poruszania się osoby, odfotografowałem ją powtórnie, ale i tą razą wyszło dwie postaci w miejscu jednej, to jest portret tej damy a obok niego twarz nieznaną. Uderzony tym zjawiskiem udałem się do spirytów, aby mi wytłumaczyli ten fenomen. Są to, odpowiedzieli mi oni, objawy duchowe — a na przyparcie swego twierdzenia przeczytali mi ustęp z periodycznego pisma hiszpańskiego spirytów, następującej treści:

Na posiedzeniu naszym z daty.... Komunikacja duchowa otrzymana przez jednego z najdoskonalszych naszych medyów, mówi: *Wkrótce fotograf francuzki z Paryża, użyty będzie za narzędzie przez świat duchów dla okazania materialnego świadectwa o nieśmiertelności duszy.*

— Uderzony tą odpowiedzią z biernego stanu przeszedłem w czynny — zacząłem wywoływać duchy i doszedłem do rezultatów które pan widzisz.

— Missya moja jest wyraźna—nie jej wstrzymać nie zdoła. Jestem woźnym duchowego świata w imię którego zapożyczam materialistów przed sąd ich własnego sumienia i sumienia ludzkości.

— Rzecz którą wyprowadziłem na jaw jest tak nadzwyczajna, tak przeciwna rozumowi i nauce że musi

koniecznie wywoływać tysiące najprzychylniejszych dla mnie przypuszczeń. Mniejsza o to. Nie lękam się ani akademii żadnej, ani policji, ani głupich, ani mądrych... słowem nikogo.

Chcąc przypatrzeć się z bliska całej manipulacji, wróciłem nazajutrz z zamiarem fotografowania się, ale zastałem już nie małą liczbę osób zapisanych przedemną, między którymi był książę Szeremetjew i 6 Anglików, przybyłych umyślnie z Londynu dla sprawdzenia tej rzeczy — musiałem więc odłożyć zamierzone doświadczenie na czas późniejszy. Jakoż w kilka dni później, stawiłem się u fotografa na umówioną godzinę, ale tą razą nie sam — towarzyszył mi w tej wyprawie przyjaciel, który w chwili robienia mego portretu, miał być w roli korpusu obserwacyjnego i vice versa. Tak się też stało. Wykonaliśmy program nasz z największą skrupulatnością, opatrzywszy ma się rozumieć wpięć szkła i wewnątrz fotograficznego aparatu.

Obie fotografie wyszły z podwójnym wizerunkiem, to jest każdemu portretowi towarzyszyło widmo, ale na miejsce wywołiwanych duchów, stanęły inne wcale nam nieznanne.

Taki jest ów fakt fenomenalny

Nie należąc sam do wierzących, nikomu tej wiary w fotografowanie się duchów narzucać nie chcę. Piszę o fotografiach Bugueta, bo się niemi cały Paryż zajmuje.

Dla uzupełnienia przedmiotu przesyłam dwa ustępy z wiersza okolicznościowego, przeciwko cudownościom materialnym duchów i wogóle wszelkiego rodzaju spirytyzmowi skierowanego. Znajomy mi poeta a nasz rodak w utworze swoim stoi na stanowisku idealizmu szczerzego, racjonalnego, dalekiego od zabobonów i guseł.

Oto co mówi:

Co słyszę? taumaturgi, media i spiryty
Twierdzą że świat duchowy, przed okiem ukryty,
Za sprawą ich widzialny? Że zasłony przysły,
I duch na ich wezwanie odzyskuje zmysły?
Może taka nauka w tem przydatna na co,
Że co duch odzyskuje, to spiryty tracą.
Od kiedyż nieśmiertelna dusza tak upadła,
Że ją fotograf może zniżyć do widziadła?
Kiedy śmierć ubezwładnia ciało i rozkłada,
Jaką siłą fotograf kształty znowu nada?
Dotąd sądzono zgodnie z myśli naszej ruchem,
Że duszę można było widzieć tylko duchem;
Że kiedy swoje ziemskie raz zrzuciła pęta,
Już niemoże być w formy stracone ujęta;
Że porwana do wyższych sfer nasza istota,
Na wezwanie spiryty niewraca do błota;
Zgoła, że w nieskończonej, bezmiernej przestrzeni,
Idziemy coraz wyżej, sami nieskończeni...
Spiryty wbrew poczuciu temu, nasze duchy
Zamykają nazawsze w cielesne łańcuchy.
Podług nich, duch nasz z tego maluzkiego świata,
Za zakres atmosfery ziemskiej nie wylata.
Imże, o materializm skarżyć nas przystało,
Im, co ducha niewidzą inaczej jak ciało?
Sądzą, iż się znajdują na prawdziwej drodze,
Wierząc, że mieszkać może duch w stołowej nodze.
Jak to? więc cienie naszych ojców, braci,
Wy możecie wywołać w dawnej ich postaci?
Ukochaną istotę, marzeń moich dziecię,
Wy tu w fotograficznym pudełku zamkniecie?
I ona to zbląkana w kąty, w stoły, w szafy,
Ma się ukazać w ten czas, gdy ją fotografy
Wezwą do pozowania? lub gdy spiryt każe
Przemawiać jej z podłogi, ze ścian?... O kuglarze!
Dla ułowienia zysku, lub w przystępie szалу,
Pragną podobny pomysł wznieść do ideału...

Tobie to, co chcesz prawdę wynaleźć bezwzględna,
Odsłaniam tę doktrynę potworną i błędną.
Pomyśl, jakby musiała spaść nasza istota,
Gdyby śmierć zamiast w wyższy świat otwierać

[wrota,

1) Hypnotyzm (?)

Zachowała jej dawny byt i dawną postać;
Zgoła, gdyby duch musiał, czem był zawsze zostać!
Czyż miałby dalej ciągnąć tego bytu przedzę,
Patrzeć na nasze wady, ucisk, bóle, nędzę.
I zamieszkując jeszcze tu pomiędzy nami,
Albo nie nie czuć, albo zalewać się łzami?
Jakaż potem nadzieja odwagi nam doda?
Gdzie będzie sprawiedliwość, kara i nagroda?
Na co ta nieskończoność po za naszym światem,
Jeżeli duch nasz staje ostatecznie na tem,
Że zwlekłszy ciało, nakształt nocnego pajaka,
Na ziemi, jak we starych gruzach wciąż się błąka.
Czy może mi odpowiesz, że z lepszego świata,
Duch ten tylko na chwilę z wyżyny przylata.
Lecz jeżeli tem zejściem w niczem nie odmieni
Tych praw, w które jesteśmy tutaj ujarzmieni,
Pytam ciebie, ten jego powrót byłby po co?
I dla czego ukradkiem, w tajemnicy, nocą?
Dla czego uroczystym głosu, manifestem,
Niezawołałby do nas śmiało: oto jestem!...
Jakże wyższa jest wiara jego w samym sobie,
Że po krótkiej wędrówce na tym drobnym globie,
Kiedy zewnętrzną formę na ziemi pogrzebie,
Czeka go podróż wielka, nieskończona w niebie!
To jego przedświadczenie wewnętrzne i wiara,
Ztąd wie, że go nagroda czeka albo kara;
Ztąd w próbach życia czerpie odwagę i stałość,
Przezuwając cel wyższy, byt i doskonałość.

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

„Jak mi Bóg miły nie zły jest świat!“ zawołał niegdyś głos śpiącego już dziś w grobie poety, i mimo że wiek nasz ze swymi materialistycznymi dążnościami, ze swym poziomym utylitaryzmem i pozytywnym chłodem, nie przedstawia dla wzroku myśliczela pięknego, ducha grzejącego obrazu, niemniej serdeczny ten wykrzyknik Pola mimowoli cisnie się na usta każdego, kogo dojdzie wiadomość o niedawno w Anglii powstałym stowarzyszeniu kobiecym: „Ladies sanitary association“ które zawiązane zostało przez panie klas wyższych i zamożniejszych, dla pomocy ubogiego ludu: ubogiej rodziny, ubogiej kobiety. W Anglii, gdzie każda kobieta średniego już wykształcenia posiada pewne nocye dotyczące pielęgnowania zdrowia, gdzie znajomość higieny jest uważana za nieodzowną dla kobiety, a to ze względu że jako matka i gospodyni domu ważne wiadomości tych stosowanie w życiu spotykać ją musi, kobieta wykształcona użaliła się nie wiadomości tej nieświadomej siostry swojej, która nie może pod bardzo ważnym względem dobrze powołania swego spełniać. Jak więc nieraz bogata daje jałmużnę biednej, tak oświecona postanowiła wesprzeć światłem swoim ciemną i *Sanitarne pań stowarzyszenie* założyło sobie wpływać na polepszenie stanu zdrowia klas niższych, przez rozpowszechnienie wiadomości higienicznych między kobietami z ludu, i w tym celu postanowiło:

1) Wydawać i rozpowszechniać broszury higieniczne, pisane językiem najprostszym i w najprzystępniejszy sposób oświecające umysły, zwracające uwagę matek, żon i gospożyn, jak układ codziennego życia, pokarmy, odzież, pomieszkanie, wpływają mocno na zdrowie i życie ludzi.

2) Zaprowadzać czytelnice, w którychby mieściły

się powyżej wskazane broszury, oraz popularne wskazówki lecznicze, wreszcie dziełka uczące praktycznego stosowania w gospodarstwie domowym wiadomości nabytych.

3) Rozgałęziać wszelkimi sposobami „sanitarne pań stowarzyszenie“, wprowadzając do niego kobiety z klas niższych, i wszędzie, gdzie tylko stowarzyszenie da się w życie wprowadzić, działać przez jego członków sposobem bezpośrednim na polepszenie stanu zdrowia klas niższych.

Obowiązkiem członków stowarzyszenia jest czuwanie nad mieszkaniem ludu, ich przewietrzeniem, oraz wiadomością w jakim stanie znajdują się tam piece i kominy. Niedopuszczenie, aby trujący gaz z węgla przez też piece i kominy zatruwał szczupłe mieszkania ubogiego, zaopatrywanie tych mieszkań wśródki wentylacyi, usuwanie nieczystych wyziewów które sprowadza nieporządek tak często łączący się z ubóstwa, oto bezpośrednie obowiązki członków. Dalszym ich ciągiem jest: 1) nauczanie i rozdawanie przepisów na zdrowe sposoby przygotowywania pokarmów; 2) usuwanie naczyni zdrowiu szkodliwych przez zaopatrywanie gospodarstw ubogich w naczynia odpowiednie; 3) udzielanie matkom rodzin form na odzienia dobrze i zdrowo okrywające, oraz nauczanie ich zrobienia. Stowarzyszenie w każdym miejscu swego istnienia powinno urządzać odczyty popularne z higieny przy szkołach niedzielnych i wieczornych; ułatwiać ubogim klasom kąpiele, zakładać tanie pralnie i tanie kuchnie, oraz żłobki. Czuwanie nad macierzyńskim karmieniem niemowląt i nauka obchodzenia się z dziećmi, oraz nauka pielęgnowania chorych jest szczególnie zalecona stowarzyszeniu. Kształcenie dozorezyń chorych „nurse“ jest jednym z celów stowarzyszenia, które postanowiło dla rozpowszechnienia swych działań wybierać z ludu kobiety inteligentniejsze, dobrego u sąsiadów zachowania i te kosztem stowarzyszenia w wiadomościach higienicznych kształcić, aby wpływ ich działał tak przez żywe słowo, jak przykład dobrze prowadzonego życia rodziny. Pierwszem działaniem stowarzyszonych jest staranie, aby każdy okręg stowarzyszenia posiadał dozorezyńią chorych, kosztem i troskliwością stowarzyszenia wykształconą i utrzymywaną, któraby w wypadku choroby szła pomagać matce rodziny w dozorowaniu chorego, czuwając zarazem, jak przepisy doktora spełniane będą. Na czele stowarzyszenia stoi Lady Bourdetts Coutts, kobieta ogromnie bogata, samotna i bliższej rodziny pozbawiona, a w nagrodę swych filantropijnych zasług, obdarzona od królowej tytułem baronesy i godnością lady, oraz dostojenstwem parowskim. Historia tej kobiety jest wielce ciekawa, choć i wielce smutna. Córka jedy-naczka bankiera londyńskiego, i przez śmierć obojga rodziców młodo osierocona, została się nagle sama jedna z największym w owym czasie w Anglii posagiem, nie pamiętam już ilu milionów, których przeleżała się biedna — przeleżała się czy ten, który po jej rękę i serce sięgnie, nie będzie sięgał głównie po majątek. Nie była jednak brzydka jakas brzydota wyjątkową, a przynajmniej nie pokazują tego jej portrety, bardzo rozpowszechnione przed trzema laty, gdy spotkała ją wyżej wymieniona nagroda uszlachcenia i parostwa, nadanego przez koronę. Czytelniczki *Bluszcza* mogły łatwo rysy jej oglądać w ilustracyach zagranicznych, gdzie niemłoda już kobieta przedstawia tylko silny i wyrazisty rysów typ anglosaksoński, który przecież nie jest bez wdzięku, szczególnie gdy młodość krasie go kwitnącą zwykle świeżością. Przecież młoda dziewczeczka tak widać niekorzystnie była uprzedzona do ludzi, bankierówna taki może nacisk kładła na złoto, że popadła w bolesny stan niewiary, odgradzając ją nieszczęsnie od miłości i wszystkich tych pociech, które za nią płyną i napełniają szczęściem serce kobiety. Została więc starą panną, została na wieki samotną, odrzuciwszy nawet zabiegi księcia Wellingtona, który nietylko był po majestacie królewskim najwyższym dostojnikiem swego kraju, ale

jego ukochanym bohaterem i człowiekiem nieśmiertelnej sławy: zwycięzcą Napoleona. Młoda dziewczęca nie dała się przecież skusić ambicji i kobiecą swą dumę stawiając wyżej, cofnęła się od mitry książęcej. Jeżeli przypuszczenia czynione nie mylą się, jeżeli istotnie nie żaden zawód rozdartego serca, nie żadna miłość nieszczęśliwa, która się stała cicho ukrytą tajemnicą, ale zbytek złota odgrodził ją od szczęścia, byłaby to postać do dziwnie bolesnego dramatu, do dramatu nowoczesnego, przypominającego przecież coś z tragicznych losów frygij-skiego króla Midasa. Jak tamten umierał z głodu, z zimna, z opuszczenia, przemieniając wszystko czego się tknął w złoto, tak—gdyby rzecz była prawdziwą—ta nieszczęsna, widząca w każdym człowieku czciela złota jedynie, zamarałaby podobnie sercem na okrutny głód uczuć, na zimno świat lodowacące. To też uwierzyć temu trudno i mimowoli widzi się w tem przypuszczeniu posępną mrzonkę splemnię przejętej wyobraźni, w każdym razie przecież samotna ta kobieta rozdaje dzisiaj miliony swoje biednym. Wydziedziczona z macierzyństwa, wniosła pierwszy w Anglii szpital dzieci; samotna przy swoim stole bogato zastawionym, darowała gminie Londyńskiej ogromny plac targowy, gdzie zatem zniżona opłata sklepów, zniża taksę żywności i staje się błogosławieństwem biednego, który tu ma swoje targowisko. Teraz widzimy ją na czele szlachetnego stowarzyszenia kobiet, które zaznacza się dobroczynnością podwójną: Kobiety klas wyższych wyprowadza po za ciasne koło salonów i mody, uczy ją lepszego, świętszego miłosierdzia, niż to, które dla celów miłości bliźniego każe tańcować i stroić się w gazy balowe; z drugiej zaś strony obdarza kobietę biedną skarbem wielkim, bo wiadomością rzeczy, która obowiązek lepiej jej spełnić pozwoli, i przez utrzymanie zdrowie i przedłużone życie drogich osób szczęście jej obwarowywa. „Ladies sanitary association“ nadaje działalności swojej trzecie jeszcze, a niewątpliwie słusne znaczenie: widzi w nim czynność patryotyczną, na szczęście i potęgę Anglii wpływającą i przekonanie to we wstępie do statutu stowarzyszonych wyraża. — Aby kraj jakiś rozwijał się szczęśliwie, aby rosł w znaczenie i cywilizację prawdziwą, potrzeba, aby lud jego był zdrowy i silny, tak pod moralnym, jak fizycznym względem—opiewa ów statut i kobieta angielska obywatelskim uczuciem wiedzioną, pospieszyła, aby się w części jakiejś do tego przyłożyła. Widzimy zatem, że zakres działalności najzupełniej już kobiecej może mieć pole tak szerokie, jak szeroka jest dziedzina uczucia i poświęcenia, potrzeba tylko na to myśli rozumnej, uczucia szczerego i tej powagi charakteru, która dziś ukochanej pracy, jutro niedbale nie ciska. Kobieta każdego kraju, która się tak wyrobić potrafi, pole szlachetnej pracy i działań obywatelskich zawsze znajdzie sobie. Nim wkroczy w sfery prac, które dotąd mężczyzna tylko zajmował, trzeba jej pierwej nie dopuścić żadnego po za sobą odłogu. Dobroczynność, wykonywanie uczynków miłosierdzia względem uboższej braci, były od wieków i wszędzie zostawione kobiecie, niechże więc pojęcie tej dobroczynności rozszerzy, uszlachetni, niech dobroczynność tę zrozumie podniosłej—oto zadanie, które w postępie działalności kobiecej i moralnem jej uczuć rozwoju najpierw spełnić się powinno.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Wyższe zakłady naukowe dla kobiet, przez Dra Baranieckiego. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, (powieść), przez J. I. Kraszewskiego. — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — Nowiny paryżkie, przez T. R. — Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet.